



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



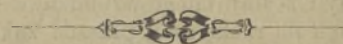
OSOBLIWA SPIŻARNIA.

którym inżynierowie i architekci w wykonaniu prac swoich posługiwać się muszą. Na nieszczęście materyał ten bywa ciągle niszczonej przez różnego rodzaju wrogów: toczy go robactwo, zjada pleśń, wyniszczają skorupiaki i pewne gatunki motyli, a wreszcie niektóre ptaki są groźnemi tępicielami tak pożytecznego dla nas przedmiotu. W Norwegii uskarżają się na szkody czynione przez dzięcioły zwłaszcza w słupach telegraficznych; wykuwają w nich otwory mające do ośmiu centymetrów średnicy, poszukując tym sposobem robaczek toczących drzewo wewnątrz, uważając prawdopodobnie szmer wiatru poruszający drutami telegraficznymi za odgłos tych ukrytych robotników.

O podobnym szkodniku drzewa, zwanym przez Amerykanów woodpecker (dziobak) chcemy właśnie mówić, wskazując sposób w jaki wyniszcza drzewo, przez składanie w niem zapasów pożywienia.

Dziobak drzewny jest przezornym ptakiem, na wzór mrówki w bajce, zbierającym podczas lata zapasy dla siebie na zimę, a spiżarnię dla nich urządza zwykle w pniach grubych sosen. W tym celu wydrąży on silnym i spiczastym dziobem głęboki w drzewie otwór, znosi do niego drobne ślimaczki któremi się żywi, kładzie je w ten otwór i póty dziobem wypycha, póki nie napełni nimi wydrążenia tak, że tylko małe cząstki muszelek wystają na zewnątrz. Obok robi następnie inne otwory, w których również składa ślimaki.

Powtarza to dopóki nie nazbiera odpowiedniej ich ilości. Często też dziobak obiera na ową spiżarnię puste wewnątrz łodygi suchych roślin, które znaleźć można wypełnione małemi ślimaczkami. Utrzymują, że zakłada często te spiżarnie w znacznej odległości od swego gniazda, o ile upatrzy dogodną ku temu miejscowość. Dlatego zapewne jeden z tych ptaków wybrał cedrowy słup telegraficzny przedstawiony na rycinie naszej. Widzimy tu jak wyjmuje ze zrobionego zagłębienia złożonego tam ślimaka, a znaczna ilość pustych dookoła otworów świadczy, że już wyczerpuje się jego pożywienie zimowe.



Jacek Odrowąż z Kamieńca

I BRAT JEGO CZESŁAW.

(Dokończenie).

Obaj bracia razem udali się na miejsca swego przeznaczenia, zasiewając słowo Boże w krajach, w których przebywali. W Tyrolu tyłu znaleźli zwolenników, że założyli klasztor swej reguły i zostawili wielu uczniów.

Skoro Jacek przybył do Krakowa, wszyscy tameczni mieszkańcy przyjęli go z wielką radością i złożyli się natychmiast na wybudowanie kościoła i obszernego klasztoru dla nowego zakonu. Gdy już wszystko było gotowe i Jacek wprowadziwszy braci swej reguły, został nad nimi przełożonym, wtedy to dziwna doskonałość jego najwyższym zajaśniała blaskiem. Niezmordowany w pracy, naprzemiany uczył się, modlił, kazał, spowiedzi słuchał i chorych nawiedzał. W sercu tak wielką chował miłość ku bliźnim, że gdy czasem nie mógł czego uczynić ubogim, płakał nad nimi i polecał ich Bogu w serdecznej modlitwie. Cały w umartwieniach, nie miał wyznaczonego miejsca na spoczynek, tylko gdzie bądź chwil kilka przespawszy, powracał do swej pracy. Niekiedy noce całe trawił na modlitwie w kościele. Skoro już w Krakowie usposobił godnych siebie współpracowników, udał się potem dalej. Przybył w końcu do Gdańska, gdzie również nauką i żywotem wielu ludzi do pobożności pobudził i klasztor założył. Następnie trzy lata przebywał w Sandomierzu, w klasztorze swej reguły, wzniesionym przez Adelajdę, siostrę Leszka Białego, poczem dopiero powrócił do Krakowa.

Rozradowało się znów całe miasto na jego przybycie, ale radość ta krótko trwać miała, bo zbliżał się czas spoczynku pracowitego żywota. W wigilię Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zwołał Jacek wszystkich zakonników, mówiąc im: „Jutro najmilsi bracia rozstanę się z wami.” Jakoż nazajutrz przyjąwszy święte Sakramenta, oddał ducha Bogu; było to 16 sierpnia 1257 r. Wsławiwszy się cudami kanonizowany został przez Papieża Klemensa VIII-go w roku 1604. Brat Herman był mu ciągle nieodstępnym, równie jak Henryk Czesława, który po rozłączeniu się z bratem w Tyrolu, udał się wprost do Pragi.

Wrzały tam wtedy krwawe religijne niezgody, a król czeski Ottokar, zamiast sprzyjać sprawie Kościoła, wspierał wichrzycieli. Biskup praski Andrzej, przyjął Czesława, jako anioła pokoju zesłanego z nieba. Wkrótce też wynomą swoją pojednał on króla z Kościołem i wielu zbłąkanych nawrócił na dobrą drogę. Do nowo wybudowanego dla siebie klasztoru, stu kilkudziesięciu braci przyjął, pochodzili oni z najzaśniejszych rodzin czeskich. Skoro już dobrze wyćwiczeni zostali w swej regule, dwudziestu siedmiu z nich wysłał do Bośni, dla nawracania tamecznych Słowian, którzy przeszli na wiarę mahometanską. Założył jeszcze w Pradze klasztor panien Dominikanek, do którego zaraz wstąpiła pobożna Małgorzata, córka arcyksięcia Leopolda, a wdowa Henryka cesarza. Z Pragi udał się na Śląsk do Wrocławia, gdzie również ze czcią był przyjęty i zbudował klasztor dla swych braci. Potem szedł do Morawii, Saksonii, Pomorza i Prus, roznosząc wszędzie słowo Boże i nawracając do pokuty i świątobliwego życia mnóstwo niedbałych chrześcijan. W Prusach i na Pomorzu znajdował jeszcze wielu pogan, których także do wiary świętej nakłaniał. Pozakładawszy we wszystkich tych krajach klasztory swego zakonu, ku oświeceniu i utrzymywaniu w pobożności ludu, powracał do Wrocławia.

Podanie mówi, że przybywszy wtedy nad Odrę, która bardzo była wezbrana, prosił przewoźników, aby go przewieźli; ci jednak nie chcieli tego uczynić, obawiając się wzbudzonej wody. Wtedy Czesław chcąc wzbudzić w tych ludziach ufność w Bogu, rzucił na rzekę swój płaszcz zakonny i wstał pływając, bezpiecznie przepłynął.

W czasie nieobecności Jacka, zakonnicy krakowscy wezwali w miejsce jego na prowincyała błogosławionego Czesława, a generał zakonu wybór ten potwierdził. Przez posłuszeństwo Czesław musiał przyjąć ten urząd, lecz spracowany już bardzo, tęsknił do spokojnego zacisza. Po trzech latach, w których chwalebnie przełożęństwo sprawował, złożył je, korzystając z upoważniającego do tego prawa i powrócił do Wrocławia, mówiąc, że czas już, aby cały oddał się pokucie i o własnych grzechach w samotnej celi rozmyślał.

Niedługo potem Tatarzy oblegli to miasto, zniósłszy wprzód wojska chrześcijańskie pod Lignicą i nadeszła chwila, w której lud przerażony, już miał poddać głowę pod miecz niewiernych. Wtedy Czesław natchniony od Boga, wyszedł na wały. Spostrzegłszy czern okrutną wdzierającą się na nie bez oporu, ukląkł i wznosił serce do Nieba, błagając łaski dla nieszczęśliwego miasta. W tejże chwili Tatarzy cofnęli się, rażeni niepojętą trwogą i uciekać zaczęli, jakby ich ścigano.

O tem cudownem wybawieniu Wrocławia świadczą nie tylko kroniki zakonne, lecz i opisy świeckich pisarzy. Czas jakiś żył jeszcze błogosławiony Czesław w łasce Bożej i miłości ludzi; ostatnie słowa, jakie wymówił w chwili śmierci były: „Panie! Ciebień jednego pożądał, przyjmij mię do stóp tronu Twego”.

Umarł w roku 1241. Ciało jego pogrzebiono we Wrocławiu, gdzie wslawił się wielokrotnymi łaskami, zjednaniami dla wiernego ludu.

A. Borkowska.

Maryja Łopuszańska.

W WIEJSKIEJ ZAGRODZIE.

(Dalszy ciąg).

— Miałem dużo przygód, ojcze, o których trzeba długo opowiadać, a na końcu błądziliśmy i ledwie przypadkiem trafiłszy do Hordijowiec.

— No, to później opowiesz wszystko; dzięki Bogu, żeś wyszedł cały z tych przygód — rzekł łowczy poważnie, podczas gdy łowczyzna przeżegnała się z podziękowaniem, wznosząc oczy do nieba.

Semienko tymczasem, siedząc nad misą kuti, (potrawy z maku, pszenicy i miodu, bez której w tych stronach nie mogła się obyć żadna wieczerza wigilijna, czy to we dworze czy w chacie), opowiadał w izbie czeladnej o przygodach, jakich on z paniczem doznali w podróży. Maksyma także nakarmiono i posadzono przy ogniu, a łowczyzna, dowiedziawszy się o usłudze oddanej przez niego synowi, sama nim się zajęła, aby mu na niczem nie zbywało, i po narodzie z mężem postanowiła, żeby go umieścić w ogrodzie jako stróża, aby miał do końca życia zapewniony spokójny kawałek chleba, nie potrzebując pracować ciężko. Ponieważ jednak w ziemie żadnej roboty nie było w ogrodzie, więc Maksym mógł sobie wypoczywać i wieczorami tylko pomagając czeladzi w przebieraniu grochu, opowiadał rozmaite przygody ze swojego ciężkiego i obfitego w zdarzenia życia. A życie to było nieraz tak smutne, że aż słuchaczom żył w oczach stawały w czasie opowiadania. Od czasu kiedy po zabiciu ojca przez Lipków, uciekł ze wsi rodzinnej, był jego tylko jednym pasmem nędzy i tułactwa po spustoszonej i zdziczałej krainie, gdzie ludzie musieli zostać albo drapieżnymi zwierzętami, albo ściganą zwierzyną; środka nie było, Maksymowi nieraz tak dokuczyla nędza, że przychodziło mu na myśl zaprzedać się w niewolę, aby przynajmniej głodu nie znosić. To też powiadał, że mu nigdy w życiu nie było tak dobrze, jak teraz w Hordijowcach, w domu łowczego.

Od czasu przybycia Andrzeja dwór znacznie się ożywił. Dziewczęta tak były uszczęśliwione przyjazdem brata, którego rok cały nie widziały, że wciąż tylko śmiały się i śpiewały zwłaszcza Anka była niezmiernie uradowana i z tego powodu wyprawiała różne szalone gonitwy po domu, w czem jej Andrzej pomagał; aż ich matka strofowała niekiedy, pół żartem, pół seryo.

— Kiedy bo matuniu, Jędrus zawsze się ze mną prekomarza — skarżyła się Anka figlarnie. — Chciałabym wiedzieć, czy to wszyscy towarzysze w waszej chorągwi odznaczają się taką statecznością i powagą?

— To zupełnie tak, jak ja chciałabym wiedzieć, czy ta stateczna białogłowa, co stoi przedemną, zawsze jednako jest rozważną, i czy i nadal zajmuje się tłuczeniem garnków w kuchni?

— Któż to ci powiedział o tem? — zawołała Anka, splonąwszy. — To pewno pan Żuk! No, no, będzie się on miał z pyszną!

— Daruj temu niewinnemu człowiekowi, bo to ja go sam wyciągnąłem na to, żeby mi opowiedział twoją smutną przygodę.

— Gniewam się na waćpana — odrzekła Anka zadęsa-na. — A panu Żukowi nie daruję, o, nie daruję!

— Biedny człowiek! — westchnął Andrzej.

— Masz się nad kim litować! Wszyscyście wy jednacy, niech tylko coś się robi, zaraz to pochwycą i będą sobie żarty stroić. A Terenia wciąż milezy, ani się ujmie za mną — zwróciła się Anka z wymówką do siostry. — Nie wiem naprawdę, jak ty możesz być zawsze tak spokojną.

— Bo nie umiem być tak hałaśliwą jak wy oboje — odrzekła Terenia ze spokojnym uśmiechem. Ciekawam, co ojciec powie na te hałasy, jakie od godziny już wyprawiacie w domu.

— Kiedy bo ja nie umiem, jak ty, siedzieć spokojnie na miejscu — zawołała Anka — kiedy mi wesoło, muszę się ruszać, skakać, śpiewać...

— Koziółki wywracać — domówił Andrzej.

— A ty, czy lepiej odemnie się zachowujesz? Już ci nawet mama powiedziała, że taki duży chłopak i do tego towarzyszy w chorągwi pancernej, nie powinien tak figlować jak mały dzieciak. A co, czy nieprawda? Prawda, matuniu, żeście mu tak powiedzieli? — zawołała Anka tryumfująco.

— Prawda — powiedziała — że oboje jesteście dzieciaki — odrzekła matka, patrząc z pobłażliwym uśmiechem to na rumiane dziewczę, tulące się do niej, to na owego „dużego chłopaka” który z drugiej strony pochylił się by ucałować jej rękę z dziecinem przywiązaniem.

Jednakże wszystko to działa się tylko wtedy, gdy łowczy siedział w swojej komnacie; skoro on się ukazał, śmiechy cichły natychmiast; dziewczęta zabierały się do roboty a Andrzej stojąc z uszanowaniem przed ojcem, odpowiadał na rozmaite pytania jakie ten mu zadawał. Najczęściej wypytywał go o ludzi, z którymi się spotykał na świecie.

— Więc poznałeś pana Kątskiego? *) — pytał, gdy mu syn opowiadał o rozmaitych zasłużonych mężach, którzy odwiedzali stanicę kresowe.

— Poznałem, ojczu — odrzekł Andrzej — i ze wszystkich wysokich osób, które do nas przybywały on mi się najwięcej podobał. Znać, że to jest mąż wielkiej duszy i żelaznego hartu.

— Bardzo to szczęśliwie, żeś w młodości mógł poznać takiego człowieka, bo obcowanie z ludźmi zasługi jest najlepszą szkołą — rzekł łowczy z powagą.

Andrzej, przybywszy do domu, po roku niebytności zauważył, że ojciec jakby się pochylił i postarzał więcej niż można było oczekiwać po tym przeciągu czasu. Zmartwił się tem ale nie śmiał pytać, bo łowczy nie lubił mówić o swem zdrowiu, a tak zazwyczaj panował nad każdym cierpieniem czy to moralnem czy fizycznym, że najbliżsi zaledwie domyślali się, że cierpiał, bo im tego nigdy nie okazał. Zapytał więc tylko

matkę pocichu, jak się ma ojciec, ale ona, widując go codziennie, przywykła stopniowo do zmiany w nim zaszłej i nie zauważyła jej prawie. Zresztą łowczy zawsze jednako czuwał nad wszystkim, i pomimo jego choroby, każdemu z domowych zdawało się, że czuje na sobie jego wzrok surowy, który jednak nigdy nie błyskał gniewnem uniesieniem ani nigdy nie skarał nikogo niesprawiedliwie.

Jednego wieczora łowczy kazał wezwać syna do siebie. Andrzej wszedł do komnaty z uszanowaniem i z mimowolnem biciem serca, bo ojciec tylko w ważnych chwilach wzywał do siebie którekolwiek z dzieci. Na stole płonąła lampa nieco przyćmiona, a łowczy siedział zagłębiony w wysokiem krześle, rzucającym cień na jego majestatyczną, choć już pochyloną, postać.

— Zbliź się tu, synu, bo mam ci coś bardzo ważnego powiedzieć — rzekł, unosząc nieco głowę, a Andrzej zauważył teraz najlepiej, jak oczy jego były zapadnięte i przygasłe.

Serce zabiło mu jeszcze mocniej, bo głos ojca brzmiał dziwnie jakoś uroczyście.

— Wiedz o tem, że mnie wkrótce nie stanie między wami i to bardzo niedługo, ciągnął dalej łowczy, a głos jego dobywał się z wysiłkiem z piersi zmęczonej, i wówczas ty będziesz opiekunem matki i siostr...

— Ojczu, ojczu, co wy mówicie! — zawołał Andrzej, nie mogąc zapanować nad sobą, i zsunąwszy się do stóp ojca, począł je ścisnąć, drżąc cały ze wzruszenia.

— Ciszej! — rzekł łowczy, kładąc palec na ustach, nie chcę żeby matka wiedziała o tem wcześniej niż potrzeba; ona niewiasta, nie ma tyle mocy duszy, co my; panuj więc nad sobą i wysłuchaj mię spokojnie, jak na męża przystało.

Ale Andrzej nie mógł tak prędko opanować swego wzruszenia, żal wstrząsał całą jego postacią; dopiero w tej chwili poczuł jak gorąco kochał ojca, tak napozór surowego, a jednak tak zacnego, szlachetnego, który mu był żywym wzorem do naśladowania.

Łowczy, także wzruszony położył rękę na głowie syna, a usta jego poruszały się cicho, jak gdyby w duchu się modlił. W komnacie panowała cisza głęboka, tylko wielki zegar gdański tykał monotonnie. Wreszcie łowczy pierwszy przerwał milczenie:

— Nie dlatego ci to powiedziałem, aby ci boleść, sprawić, ale abyś zawczasu był przygotowanym do obowiązków jakie na cię spadną niedługo. Masz już lat dwadzieścia jeden, nie jesteś więc dzieckiem i spodziewam się, że mogę tobie zostawić pieczę nad losem matki i siostr...

— Ale ojczu, czyż to być może, byście mieli opuścić nas tak prędko! — zawołał Andrzej. — Ja temu nie mogę uwierzyć! w głowie mi się miesza...

— Niestety, ja dobrze czuję, że to jest prawdą; coraz więcej pochylałam się do grobu, gdzie dla mnie miejsce najwłaściwsze, i gdyby nie troska o los tych biednych niewiast, chętnie bym tam złożył moje strudzone członki...

— A ja, mój ojczu, co ja pocznę bez was? Dotąd wyście mi byli wzorem, przewodnikiem, sumieniem, wszystkim w życiu, a teraz kto mię oświeci, kto mi drogę wskaże, kiedy was nie stanie?

— Twoje własne sumienie i zasady które ci wszczepiłem. Dotąd łatwo ci było nie błądzić, bo byłeś, jak dziecko, prowadzony na pasku, teraz dopiero pokażesz czyś mężem prawdziwym...

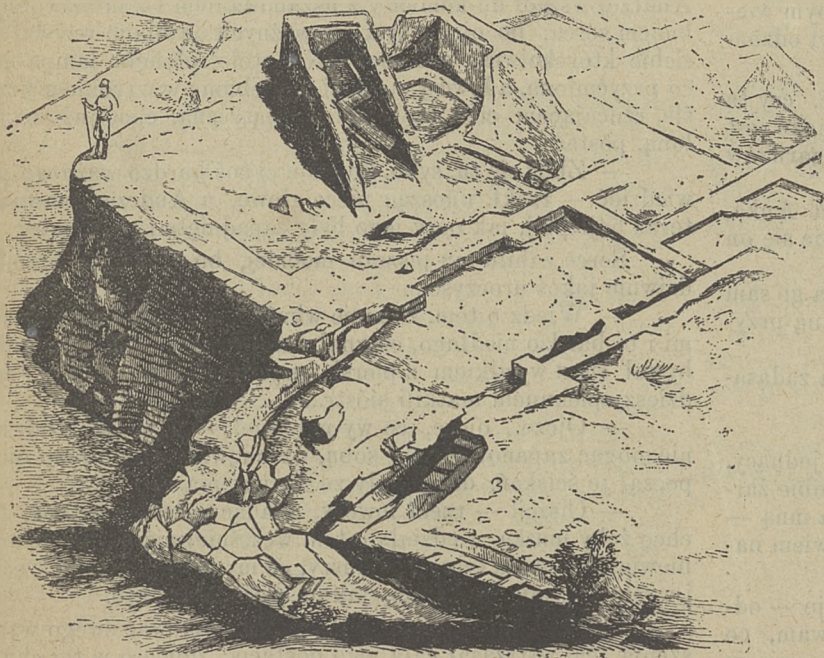
— Ale czyż podołam obowiązkowi, jakie na mnie wkładacie? Sam jeszcze jestem młody, czyż potrafię być opiekunem rodziny? Wiem dobrze, że nie mam na to ani dość doświadczenia, ani dość rozumu...

— Wskażę ci sędziów, którzy ci będą dopomagali swojemi radami; zresztą jeżeli szczerze chcemy podołać jakimś obowiązkowi, znajdziemy w sobie odpowiednie siły do ich spełnienia. Przedewszystkiem idź zawsze drogą prostą, niech cię żadna trudność, żadna przeszkoda nie skłoni do odstąpienia choćby w małej rzeczy od zasad prawości, jakimi masz się rządzić w życiu. Paniętaj, że powinność trzeba zawsze spełnić, choćby ona była najprzykrzejszą, najcięższą,

*) Marcin Kątski, później generał artylerji koronnej.

choćby największych ofiar od nas wymagała, bo jak mówi Pismo św. „Bojowaniem jest żywot człowieczy na ziemi.”

Długo tak jeszcze mówił łowczy, a Andrzej słuchał go w skupieniu, i zdawało mu się, że pod wpływem słów tych duch jego mężnieje i umacnia się tyle, że mógł już śmiało zajrzeć w oczy przyszłości, jakkolwiek mu ona wydała się



Szcątki starożytnego miasta.

twardą i ciężką. Upadały wprawdzie wszystkie jego najdroższe marzenia, musiał się rozstać ze służbą wojskową, gdzie miał nadzieję odznaczyć się przez swoje mężtwo, ale teraz, wobec myśli o śmierci ojca i sieroctwie, w jakie miała popaść rodzina, wszelkie osobiste przykrości zdawały mu się małemi i nieznaczącemi. Każde słowo, wychodzące z ust człowieka, który ma umrzeć wkrótce, posiada znaczenie dziwnie uroczyste, jak gdyby rozlegało się nawpół z tamtego świata. To też Andrzej słuchał ojca całą duszą i zdawało się, że wszystko inne na świecie znikło zupełnie z przed jego oczu. Przywykły zawsze widzieć ojca surowym i skąpym w mowie, teraz był przejętym do głębi owym serdecznym wylaniem, jakie mu okazywał. Przysięgał sobie w duchu, że wiecznie zachowa w sercu wszystkie jego rady i przestrogi. Byłby tak chętnie spędził noc całą na rozmowie, ale ojciec sam zwrócił uwagę, że już późna godzina i czas się rozejść. Przed rozstaniem łowczy uściśnął syna z niezwykłą mu czułością, a Andrzejowi się zdawało, że pod dotknięciem tej dłoni, która spoczęła na jego głowie błogosławiąco, w duszy jego rodzą się jakieś nowe siły.

Nazajutrz dziewczęta nie mogły się wydziwić, dla czego brat tak spoważniał nagle i posmutniał i jedna przed drugą robiły o tem uwagi pocichu, ale on nic nikomu nie mówił, tylko przykro mu było widzieć matkę tak spokojną, siostry tak wesołe i nie przeczuwające nawet gromu, jaki miał na nie spaść niebawem. Co wieczór teraz przychodził na poufną rozmowę do ojca, który go wtajemniczał powoli w różne sprawy rodzinne i doradzał jak ma postępować na przyszłość. Wszelkie rozporządzenia testamentowe były już dawno zrobione, bo łowczy nie chciał tego od-

kładać na ostatnią chwilę, szło tylko o proces z Halczyńskim, który się ciągnął już oddawna, bo niespokojny sąsiad wciąż z nowemi pretensjami występował.

— Zawsze byłem nieprzyjacielem wszelkich procesów—mówił łowczy do syna — ale tutaj pretensye są tak niesłuszne, że niepodobna nie bronić swych praw. Już zresztą parę razy proponowałem Halczyńskiemu zgodę na mocy wzajemnych ustępstw, ale nie chciał na to przystać, mając nadzieję, że wyprocesuje połowę mego mienia. Przygotuj się, że i z tobą rozpoczniesz roznaite zatargi, i będzie się starał cię rozdrażnić, ale ty nie daj się nigdy unieść popędliwości i staraj się zawsze tylko postępować wedle prawa i własnego sumienia. Ten człowiek zatruł mi wiele lat życia; niech mu tego Pan Bóg nie pamięta. Raz nawet, a był to pierwszy raz w mojem życiu, i daj Boże ostatni, doprowadził mię do takiego gniewu, że omal nie stałem się winnym śmierci człowieka; przysłał mi bowiem włodarza wraz z ludźmi, by rozrżucili kopce graniczne i to w biały dzień. Skoro mi dano znać o tem, pojechałem na miejsce, a ujrzawszy ludzi rozrżucających kopce, zaciałem konia i stanąłem pomiędzy nimi, pytając, jak śmiało czynić coś podobnego. Wówczas włodarz odpowiedział mi zuchwale, że mają na to rozkaz od swego pana; usłyszawszy to, oślepiony gniewem porwałem topór i cisnąłem tak, że przeleciał mu tuż koło głowy, gdyby o piędź bliżej—byłby trupem. Przerażeni ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, a ja, gdy zostałem sam, zsiadłem z konia i padłem na kolana na tem samym miejscu, aby podziękować Bogu, że mię uchronił od zbrodni. Mówię ci to, aby cię przekonać jak to łatwo dać się unieść zapal-



Naczynia i broń starożytna.

czywości i popełnić coś takiego, czego później całe życie możemy żałować.

— Bądźcie pewni, ojcze, że nie zapomnę nigdy o waszych przestrofach — odrzekł Andrzej — każde słowo, które wypowiedzie, chowam głęboko w duszy.

Owe rozmowy z ojcem stały mu się wkrótce tak drogie, że żałował każdej chwili czemu innemu poświęconej, i chciałby był wciąż tylko słuchać i patrzeć na niego. Łowczy je-

dnakże czuł się gorzej i słabnął z dniem każdym, już i żona zaczęła się czegoś domyślać. Jednego dnia, Andrzej ujrzał matkę wychodzącą z pokoju ojca z twarzą zalaną łzami! spostrzegłszy syna, zbliżyła się ku niemu, mówiąc:

— Andrzej, ty coś wiesz, widzę to oddawna po tobie; powiedz mi, czy ojciec ma się bardzo źle, bo mnie on nic nie chce mówić, nie rozumiejąc tego, że najgorszą jest niepewność.

— Matko, uspokójcie się, ja... nie wiem — rzekł Andrzej zawahawszy się; lecz łowczyzna zawołała, schwycając się za głowę:

— Ty coś wiesz na pewno... o, ja nieszczęśliwa, prze-czuwam, że on umrze!

mników sztuki, były oddawna przedmiotem badań licznych, dostarczając coraz to nowych wskazówek do ich studyów.

Zmarły przed kilku laty uczony archeolog niemiecki Schlieman, poświęcił znaczną część życia i majątku na poszukiwanie pamiątek, pozostałych ze szczątków wslawionego pieśniami Homera, greckiego miasta Troi, ogłosił drukiem poszukiwania swoje, skutkiem którego po długim i mozolnym odkopywaniu grubych warstw ziemi, natrafiono stopniowo na ślady murów obronnych, jakie okalały niegdyś starożytną Toję. Obraz tych murów, od bramy południowo-wschodniej, przedstawia pierwsza nasza rycina; miały one około półczwarta metra grubości, a na tych kamiennych podwalinach wznosił się dopiero właściwy mur z cegieł, w którym co 20



R z y m.

W końcu trzeba było powiedzieć prawdę biednej kobiecie, która na tę wieść zanosła się łkaniem, tuląc głowę na piersiach syna, czującego w tej chwili, że on odtąd zostaje jedyną podporą dla tej słabej niewiasty, przywykłej zawsze i we wszystkim polegać na zdaniu męża i żyć pod jego opieką.

(d. c. n.)

Wykopaliska trojańskie.

Oddawna Grecya zwracała na siebie uwagę cywilizowanego świata. Przeszłość jej pełna chwały zarówno jak po-

metrów ukazywały się widoczne ślady baszt. Cały obszar w obrębie murów miał dwie tylko bramy: od strony południowo-wschodniej i południowo-zachodniej. Prowadząc dalsze poszukiwania, natrafiono na ślady drugiego miasta, w którym Schlieman poznał dopiero właściwą Troję. W miejscu, gdzie musiał się znajdować zamek nieszczęśliwego króla Pryama, znaleziono rozmaite szczątki klejnotów, broni i narzędzi dość dobrze zachowanych. Pewną część tych cennych zabytków tak odległej przeszłości, przedstawia druga nasza rycina. Odznaczają się między niemi srebrne urny, ozdobione wyobrażeniem twarzy ludzkich.

Wdowa Schliemana oświadczyła, że popierać będzie dalsze swym kosztem poszukiwania na odgrzebanych przez męża zwaliskach Troi. Dotąd wszakże nie zajął się tem żaden z archeologów, może to jednak z czasem kiedyś nastąpi.

R Z Y M.

Miasto Rzym zajmowało pierwszorzędne stanowisko w starożytnym świecie; założone na 753 lata przed narodzeniem Chrystusa, dotąd pomimo odmiennych kolei losu jakie przechodziło, ma wielkie znaczenie dla wszystkich chrześcijańskich narodów. Wiekowa jego przeszłość nagromadziła w nim niezliczone mnóstwo nader cennych pamiątek z 25 wieków, o jakich całe tomy możnaby napisać. Rycina nasza przedstawia widok jego ogólny.

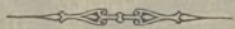
Widzimy tu najpierwej rozległy plac, zwany ludowym, (Piazza del popolo) z obeliskiem egipskim, mającym 124 stóp wysokości.

Dalej uderza wzrok wspaniała świątynia z okrągłą kolumnadą 410 stóp wysoką, opartą na czterech odpowiednich filarach.

Jest to bazylika świętego Piotra, kościół najpiękniejszy na całym świecie, zbudowany w ciągu lat stu dwudziestu, z niesłychanym kosztem, pełen wewnątrz i zewnątrz zdumiewających arcydzieł sztuki. Ma on 660 stóp długości, 284 szerokości i zajmuje 8 mórg przestrzeni.

Widzimy dalej gmach podłużnego kształtu, imponujący olbrzymim rozmiarem swej budowy, to położony na prawym brzegu Tybru, Watykan, rezydencja papieżka, mająca 22 podwórza i 11,000 pokojów. Tutaj mieszczą się: znakomita biblioteka i muzeum najcenniejszych zabytków sztuki. Watykan łączy się galerią z Belwederem, obejmującym również wiele znakomitych dzieł sztuki, sięgających najdawniejszych czasów, jak również z zamkiem św. Anioła, cytadelą rzymską i więzieniem dla przestępców stanu. Rzym posiada bardzo wiele wzorowo prowadzonych zakładów naukowych, oraz mnóstwo schronień opiekuńczych dla wszelkiego rodzaju nędzy.

Dla arcydzieł sztuki, które tu są zgromadzone, spieszą do Rzymu artyści całego świata po wzory i natchnienie we wszelkich gałęziach sztuk pięknych.



SFINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

— Ho, ho! Nie Peters będzie się mylił w takiej rzeczy! — zapewniał bosman. — Jeszcze chwilę cierpliwości, on z góry prędzej mógł dostrzedz...

I rzeczywiście; w dwadzieścia minut później zarysowały się nad powierzchnią morza ciemniejsze punkta, oświetlone miejscami ukośnemi promieniami słońca.

— Jeszcze dwadzieścia minut szybszej jazdy, aż po zwinieciu mniejszych żagli z rozkazu porucznika, Halbran zaledwie nieznacznie posuwał się naprzód.

Zamiast wszakże obszernych wysp, o których wspominał Prym, ujrzeliśmy w końcu zupełnie wyraźnie z jakich 12 drobnych wysepok, z których największe dochodziły 50 — 60 siągów kwadratowych, mniejsze zaś nie mając więcej nad 3 — 4, rozsiane były niby drobne skały, o które spieniona rozbijała się fala.

W tej chwili Peters, spuszcżając się powoli wzdłuż wielkiego masztu, skoczył na pokład.

— Więc cóż, Petersie, poznałeś ten archipelag? — zapytał Len Guy.

— Archipelag? tam niema już archipelagu, tam są tylko kamienie, ani jednej wyspy!... — odparł żywo tenże.

Rzeczywiście, zaledwie kilkanaście wierzchołków, tworzących zapewne wzgórza dawnego lądu, wynurzało się z wody, jakoby na świadectwo istnienia na tem miejscu obszernych dawniej lądów. Jeżeli wszakże wyspy ciągnęły się długim pasmem ku zachodowi, może choć ostatnie z nich ocalały.

Należało więc po rozpatrzeniu na miejscu, jak dawną mogła być katastrofa, posunąć się jeszcze nieco w obranym kierunku.

Wprawdzie ustała już obawa przed napaścią krajowców, których oczywiście nie było, w zamian jednak roztropność kazała zatrzymać Halbran w pewnem oddaleniu, by uniknąć niebezpiecznego najechania na ląd, jaki się pod wodą zdradziecko mógł ukrywać.

Po zarzuceniu kotwicy wsiadło nas kilku do łodzi, i kapitan kazał skierować ku największemu obszarowi ziemi. Przeprowa była dość trudną; spokojne gdzieindziej morze, rozbijając się tu o liczne przeszkody, burzyło się i szumiało. Dick Peters stojąc u rudda, wskazywał bezpieczne przejścia; przed jego wzrokiem nie ukrywały się nawet podwodne skały. Co prawda miejscami woda tak mało miała głębi, iż widać było wyraźnie jej spód czarniawy, okryty zielonością, nie wodną wszakże, lecz wyraźnie lądową; gdzieniegdzie nawet sterczały nad powierzchnią gałęzie drzew.

Gdy łódź została zaczepioną u lądu, wyszliśmy z niej wszyscy. Ziemia, na której stanęliśmy miała kształt owalny z obwodem 50 siągów, wznosząc się do 30 stóp nad poziom morza. Wybrzeże jej zmywane ciągle falą, nagie było zupełnie.

— Czy przypływ dochodzić może, aż tam w górę? — pytałem Len Guy.

— Nigdy! — odpowiedział kapitan — spodziewam się też znaleźć tam jeszcze szczątki życia jakiegoś.

I rzeczywiście, szczątków tych nie brakło. Dość bujna nawet roślinność ubarwiona kwieciami, pokrywała miejscami ziemię.

— Są to kwiaty tegoroczne — zawołałem — zima nie przeszła jeszcze po nich!

— A czy nie jest jednak możliwem, aby wyrosły one tu już po owem straszmem rozćwiartowaniu wysp? — zauważył Hurliguerly.

— Nie przypuszczam tego — odparłem z uporem człowieka, który nie chce się wyrzec swego zdania.

Wznoszące się miejscami krzewy z rodzaju naszej leszczyny, okryte były owocem. Peters zerwał z nich kilka, a wyłuszczywszy z zielonego okrycia dość duże orzechy, rozgryzł je w swych silnych zębach, znajdując dojrzałe jądra, tak, jak w chwili katastrofy w dolinie Klock-Klock.

Nie mało też wśród bujnych traw odszukaliśmy kości różnego ptactwa przeważnie z rzędu pletwonogich, oraz szkielety trzody domowej, okryte jeszcze tu i owdzie skórą, porośniętą czarną siercią, co upewniło nas, że zniszczenie ogólne mogło zaledwie parę miesięcy temu mieć miejsce. Suche więc i nadpróchniałe już kości znalezione na Tsalal, nie należały do ofiar katastrofy.

Po 36 godzinach, które poświęcił Halbran okrążaniu pozostałych drobnych odłamów obszernego niedawno archipelagu, utrwalilo się w nas przekonanie co do czasu zaszłych wypadków, oraz pewność, że kapitan Wiliam Guy dość wczesną ratował się ucieczką. Gdzie wszakże mógł się schronić ze swymi towarzyszami? Gdzie szukać mają go ci, którzy wreszcie przybyli mu na pomoc?... Oto pytanie, na które próżno usiłowaliśmy znaleźć odpowiedź...

— Nie przypisując sobie nadzwyczajnej domyślności — rzekłem wreszcie do kapitana — a zestawiając jedynie fakty zebrane, sądzę, że niedaleki jestem od prawdy, podając następujący wniosek:

Gdy po katastrofie w dolinie Klock-Klock, siedmiu ludzi z załogi Orionu nie licząc Pryma i Petersa uratowało swe życie, był razem z nimi pies Sułtan, czego dowodzą kości jego

znalezione w pobliżu osady. Niedługo później ludność miejscowa, niewiadomo z jakiej przyczyny, opuściła wyspę, zostawiając tem samem zupełną na niej swobodę nieszczęsnyń rozbitkom, którzy też jedynie dzięki temu zdołali tu wyżyć lat jedenaście, jakkolwiek nie wątpię, że próbowali uwolnić się z tego więzienia, już to na pirogach krajowców, już na własnej budowy łodziach. Wreszcie po zniknięciu Water-sona, który wypadkiem czy umyślnie odплыł na lodowcu, nastąpiło trzęsienie ziemi, niszczące Tsalal, a pochłaniające zupełnie sąsiednie wyspy. Wtenczas to niezawodnie uznał kapitan Wiliam Guy, iż bądź co bądź próbować trzeba powrotu na północ. Prawdopodobnie wszakże, lekkie łodzie rozbitków nie zdołały się oprzeć silnemu prądowi, jaki mieliśmy sposobność sami stwierdzić, a który uniósł ich tak samo jak Petersa i Pryma w stronę bieguna, ku dalekim jakimś ziemiom, gdzie ci ostatni rozdzieleni zostali. Tam też mojemu zdaniem powinien się zwrócić Halbran, tam, nie dalej zapewne jak za dwoma jeszcze równoleżnikami, znajdziemy cel wyprawy, cel upragniony, dla którego każdy z nas gotów jest życie swe poświęcić!...

— Oby nas tam Bóg prowadził! — rzekł z mocą Len Guy, i odszedł, by wydać odpowiednie rozkazy, podczas gdy bosman, gdyśmy zostali sami, rzekł z zaufaniem:

— Słuchałem cię z wielką uwagą, panie Jeorling, i trudno zaprzeczyć, przekonałeś mię prawie!...

— Sądzę, iż będziesz przekonany całkownie Hurli-guerly.

— Kiedy?

— Może prędzej niżeli się spodziewasz!...

Nazajutrz, 29 grudnia o 6 godzinie z rana, żaglowiec podniósł kotwicę, kierując się tym razem wprost ku południowi.

Od 29 grudnia do 9 lutego.

Wróciłem znów do uważnego przejrzenia ostatniego rozdziału pamiętników Pryma, rozdziału, w którym opowiedzianą jest ucieczka z wyspy Tsalal. I oto ustęp, który uznając za dość ważny, przytaczam dosłownie:

„Posuwając się od koła biegunowego, zostawialiśmy stopniowo za sobą mroźne przestrzenie, i jakkolwiek sprzeciwia się to ogólnie przyjętemu zdaniu, fakt jest, że w miarę zbliżania się do bieguna, mieliśmy coraz łagodniejszą temperaturę. Teraz więc, w zimowej już porze, nie mogłem tem więcej narażać się na mrozy północy i stronę południową była jedyną drogą, jaka stała przed nami i gdzie mogliśmy mieć nadzieję znalezienia ładu o klimacie dość łagodnym. W tym też kierunku wiosłowaliśmy z siłą całych.”

Tak rozumował Prym, tak jego śladem powinniśmy teraz postąpić. Ale gdy uciekający z wyspy Tsalal znajdowali się na oceanie „niezmiernym i pustym,” poza 84 równoleżnikami dnia 29 lutego, rok bowiem 1828 był przestępny, my teraz mieliśmy zaledwie 29 grudnia. Halbran przeto znajdował się tu o całe dwa miesiące wcześniej, nie potrzebując obawiać się bliskiego powrotu zimy. I jakież zresztą może być porównanie między naszym żaglowcem obficie we wszystko zaopatrzonem, z liczną i wprawną załogą pod rozkazami takiego, jak Len Guy kapitana, z wątlą łodzią mającą 50 stóp długości na 5 do 6 stóp szerokości i trzema żółwiami, które miały być jedynem pożywieniem dla trójga ludzi!

Płynęliśmy równo i spokojnie. Pozostałe resztki dawnego archipelagu zginęły wkrótce w dali, a otaczające nas morze było takie, jakim cieszyliśmy się już od wyspy Bennet, to jest wolne zupełnie od lodowców. Było to całkiem naturalne przy temperaturze + 11° Celsjusza, jaką miała woda, której też prąd silny, idący wyraźnie i stale z północy na południe, uniósł żaglowiec do 5 mil na godzinę.

Gromady ptactwa ożywiały powietrze; zawsze te same zimorodki, pelikany, petrele i albatrosy. Te ostatnie wszakże nie wyróżniały się bynajmniej wyjątkowemi rozmiarami; nie były to owe ptaki-olbrzymy, o których mówił Prym, a któ-

re miały wydawać okrzyk: „Tekeli li” zdający się być również słowem najczęściej używanym w języku tsalalskim.

Przez całe pierwsze dwie doby nic szczególnego nie zaśzło, a załoga mając dość wolnego czasu, zabawiła się obfitem połowem makreli, węgorzy morskich, stokfiszów, błękitnych delfinów i wielu innych gatunków ryb, które następnie smacznie przyrządzone przez poczciwego murzyna, spożywała z niemniejszym zadowoleniem. Jakkolwiek lekka mgła zakryła blask słońca, nie braliśmy tego zupełnie za przepowiednię zmiany atmosferycznej.

— Zatem już 4 miesiące i 7 dni upłynęło, od kiedy opuściłem Kerguelen, a dwa miesiące i 4 dni, gdy Halbran porzucił Falklandy. Nie troszczyłem się przecież w najmniejszej rzeczy o to, jak długo jeszcze potrwa wyprawa, a zajmowało mię jedynie pytanie, do jakiego punktu tych stron zawiedzie nas ona.

Zaznaczyć tu wypada, że jeżeli Dick Peters po uczy-nionem zeznaniu, wrócił do dawnego swego milczenia i dobrowolnego odosobnienia względem swych towarzyszy, jeżeli nie zmienił się w stosunku do kapitana i jego porucznika, to czynił wyraźny wyjątek ze mną. Być może, że siłą intuicyi uznał mię za swego sprzymierzeńca, że przeczuwał, iż los Pryma interesował mię żywiej aniżeli kogobądź z załogi, dość, że nie tylko mię nie unikał teraz, lecz widocznie mię szukał.

Często zadawał mi się jedynie bliskiem mem sąsiedztwem, stając w pobliżu ławki na której zwykłem siadać, lecz kilka razy także zawiązała się między nami rozmowa, którą jednak wypadkowe ukazanie się kapitana lub Jem Westa, niefortunnie przerywało, metys bowiem oddalał się wtenczas natychmiast.

Gdy więc dnia tego porucznik był na straży, a kapitan siedział zamknięty w kajucie, Peters podszedł ku mnie krokiem wolnym, nieśmiałym. Domyślając się, iż spragniony jest rozmowy w kwestyi, która go najżywiej zajmowała, zaga-dnąłem go pierwszy:

— Czy chcesz Petersie mówić mi o nim?

Żrenice biedaka błysnęły, jak zarzewie pod silnym podmuchem.

— O nim, panie!... tak o nim!... — odpowiedział szeptem prawie.

— Zostałeś wiernym jego pamięci, Petersie?

— Alboż mógłbym zapomnieć go kiedy!

— Masz go zawsze przed oczyma, prawda?

— Zawsze!... Niech mię pan zrozumie! Tyle niebezpieczeństw przebytych razem!.. To cię uczyni braćmi, nie -- lepiej ojcem i synem!.. Bo ja go panieochałem jak własne dziecko... Byliśmy obaj tak daleko... za daleko, kiedy on już nie powrócił... Mnie widziano jeszcze w Ameryce, ale on, Prym... biedny Prym... jest dotychczas tam!...

I mimo ognia, który się palił w czarnych żrenicach metysa, dwie wielkie łzy spłynęły po jego policzkach.

— Powiedz mi jednak Dick Petersie — zapytałem — czy nie macie żadnego pojęcia o tem, jaką drogą płynęła wtenczas łódź wasza?

— Żadnego panie! Biedny Prym nie miał przecie narzędzi ze sobą, aby mógł patrzeć na słońce. Nie wiedzieliśmy też nic prócz tego, że przez pierwszych 10 dni, zarówno prąd wody jak i kierunek wiatru, pchał nas na południe. Za żagle mieliśmy na dwóch gałęziach rozpięte własne koszule... — Których białych kolor przestraszał waszego jeńca Nu-Nu?... — zapytałem.

— Być może, ja tego nie pamiętam, jeżeli wszakże Prym to powiedział, trzeba wierzyć Prymowi!...

Kilka już razy zdarzyło mi się zauważyć, iż niektóre szczegóły umieszczone w ostatnich mianowicie rozdziałach pamiętników, były Petersowi obce, chcąc więc mieć ostatecznie pod tym względem pewność jakąś, badałem go dalej.

— A przez ten tydzień nie mieliście głodu?

— Głodni nie byliśmy, ani spragnieni nawet; pan wie, że trzy żółwie, które były w łodzi... Zwierzęta te zawierają w sobie dużo wody słodkiej, a mięso ich jest dobre, nawet

surowe. Oh, surowe mięso!... — jęknął Peters, zniżając głos i spoglądając lekliwie w około, jakby z obawy, aby go kto nie podsłuchał, a w dziwnym, przerażającym skurczeniu twarzy widocznym było, jak niezatartem jest w jego duszy wspomnienie zaszłych scen na Grampiusie, jak bardzo cierpi nad tem, jak wprost brzydzi się sobą.

Po dłuższym nieco milczeniu zagadnąłem znowu:

— Przypominasz sobie? Pierwszego marca mieliście, jak opisują pamiętniki, pierwszy raz spostrzedz szeroką, mglistą zasłonę przerywaną promiennymi pasami?

— Ja nie wiem, panie, ale jeżeli Prym tak mówi, tak być musiało...

— Czy on ci nigdy nie wspomniał o ogniu, który spada z nieba — wypytywałem dalej, nie chcąc użyć wyrażenia: „zorza polarna,” któregoby metys nie był pewno zrozumiał, a przypuszczałem, że zjawisko wspomniane, mogło być wynikiem polaryzacji światła, tak silnej w tych okolicach antarktycznych.

— Nie mówił mi o tem nigdy! — zaprzeczył stanowczo Peters.

— A nie zauważyłeś czasem, że woda w morzu przybierała mleczną barwę, że tracąc swą przezroczystość, stawała się gęstą?

(d. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Pozbycie się kurzu. — Wyprawa Jacksona. — Hodowla Strusi.

Kurz przenoszący z miejsca na miejsce mikroby, uważany jest przez higienistów za nadzwyczaj szkodliwy dla zdrowia. Inżynier amerykański Nicols, wynalazł sposób zniszczenia go polewając ulice i chodniki — oliwą. Próby, czynione w Filadelfii, tak pomyślnie wypadły, iż miasto wprowadziło polewaczki systemu Nicols'a. Można używać do tego najtańszej i najprostszej oliwy, jedno polanie na rok zabezpiecza podobno miasto przez cały ten czas od kurzu.

Przywódca wyprawy do bieguna północnego Fryderyk Jackson, powrócił obecnie i nie tylko oznaczył na mapie nieznane dotąd północne wybrzeża ziemi Franciszka Józefa, lecz sprostował fałszywe wyobrażenie o jej stałym lądzie. Jest ona raczej utworzona z grupy wysp, które są możliwem przedłużeniem Szpichbergu. Na krańcu północnym odkrył Jackson jezioro. Naukowe wyniki wyprawy będą wkrótce ogłoszone. Przez trzy lata członkowie jej dokonywali spostrzeżenia magnetyczne i meteorologiczne, oraz gromadzili bogate zbiory geologiczne, botaniczne i zoologiczne. „Gdy opuszczałem Anglię,” powiada Jackson, „planem moim było dotarcie do bieguna północnego, a opierałem się na istniejących mapach i na zdaniu większości badaczy podbiegunowych, według których ziemia Franciszka Józefa sięgać miała daleko dalej na północ. Moje podróże saniami wyka-

zały wszakże, iż myśl dostania się do bieguna północnego z ziemi Franciszka Józefa jest niewykonalna. Istnienie ziemi Petermana i króla Oskara na północy i północno-zachodzie jest, wbrew dotychczasowym mniemaniom, wątpliwe; ogólne istnienie ziemi na północ poza 82 st. jest bardzo nieprawdopodobne. Wszystko to wpłynęło oczywiście na powstrzymanie mnie od wykonania powziętego planu, jednakże, gdybym pozostał dłużej, byłbym się na tę próbę odważył. Gdybym, co nie jest możliwe, przedsięwziął nową wyprawę, i to w saniach, obrałbym jako punkt wyjścia północą Grenlandyę. Myśl Nansena, co do dostania się do bieguna północnego z cieśni ny Behringa prądem idącym na północ, okazała się możliwą, jak dowodzi pomyślny wynik jego wyprawy. Do wyprawy balonem nie mogę mieć zaufania. O Andréem nie słyszałem nic. Nikt nie może powiedzieć, gdzie się teraz znajduje.”

Opowiada także Jackson różne szczegóły o sposobie życia i zajęciach członków wyprawy. Ustawienie zabranego z Archangielska domu drewnianego trwało dwa tygodnie; nazwano go „zanikiem Elmwood, na cześć siedziby p. Harmworth w Kent, który poniósł koszt wyprawy — i urządzono się w domu tym możliwie wygodnie. Główną troską było zdobywanie świeżego mięsa, aby ochronić się od skorbutu. Początkowo widywano niewiele „zwierzyny”. Ale następnie zaczęły podchodzić białe niedźwiedzie i w przeciągu trzech miesięcy zabił Jackson 33 niedźwiedzie oraz 8 morsów. Nie brakło tedy świeżego mięsa. Pomyślny stan zdrowia zawdzięczali członkowie wyprawy w znacznej części nader regularnemu trybowi życia. W zimie zajęci byli pielęgnowaniem psów, reniferów i sybirskich kuców oraz różnemi robotami mechanicznymi i odnawianiem śniegu, który nieraz groził zasypaniem. W miesiącach letnich przedsięwzięli krótsze i dłuższe wycieczki, celem badań geograficznych i geologicznych ziemi Franciszka Józefa. Oprócz Jacksona skład wyprawy stanowili: porucznik marynarki królewskiej Armitage, który pełnił funkcje astronoma, dr. Koeltlitz, lekarz Bruce przyrodnik, oraz pp. Wilkon i Heywood, geografowie.

Hodowlę strusi zaprowadzili u siebie Amerykanie. Okazało się, że warunki klimatyczne Kalifornii odpowiadają tym, w jakich struś żyje w Afryce, i po wielu nieudanych próbach, hodowcy kalifornijscy zdołali nareszcie dojść do tego, że dostarczają znacznej ilości piór na potrzeby Stanów Zjednoczonych. W Kalifornii południowej istnieje siedm czy ośm folwarków dla hodowli strusi, które dostarczają rocznie piór wartości 10,000 dol. Oficjaliści pobierają dosyć duże pensye, albowiem hodowla strusi wymaga zręcznych pracowników i nie jest zbyt bezpieczna. Strusie często biją nadzorców swoich tak silnie, że niejednemu już złamały nogę. Najcenniejsze pióra posiada samiec u spodu skrzydeł; za jedno takie pióro płaci się niekiedy po 50 dol. W ogóle z jednorazowego oskubywania strusia zyskują pióra wartości 100 dol. Para dobrych strusi warta jest 1,000 dolarów.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Osobliwa śpizarnia (z ryc.) — Jacek Odrowąż z Kamieńca i brat jego Czesław. — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańską. — Wykopaliska trojańskie (z ryc.) — Rzym (z ryc.) — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Z dalszego świata — Dodatek: Przysługa i wdzięczność, wiersz (z ryc.) — Dowód pamięci przez Helenę Bojarską. — U cioci Polci. — Jagienka przez Z. R. — Łamiągówki i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. — Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE

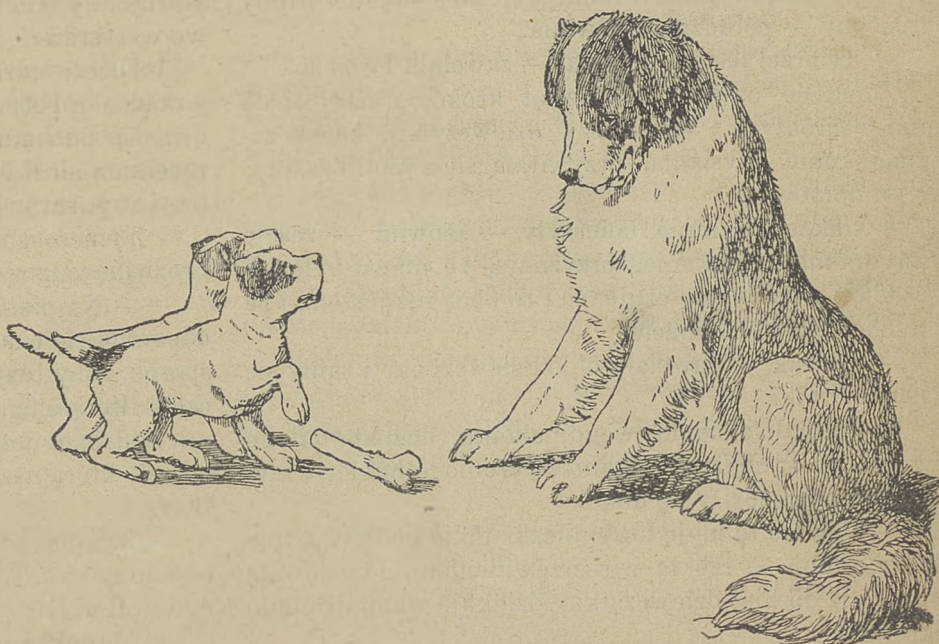
PRZYSŁUGA I WDZIĘCZNOŚĆ.

Wtem Bryś, stróż domu wychodzi z budy
I widząc małą strapię minki,
Suchar pokruszył bez długiej zmudy,
W drobne kawałki i okruszynki.

A zostawiwszy zdobycz im całą,
Legł nieopodal zadowolony;
Aż gdy się przespał z godzinę małą
Nagle przez pieski jest przebudzony.

Skomlać, skowycząc Filuś z Azorem,
Kość mu ogromną w darze przynoszą,
Którą znaleźli gdzieś przede dworem
I by ją przyjął, nieledwie proszą...

O! nie pozwólcie, dzieci kochane
By wam te pieski przykładem były,
Za dobrodziejstwa mile doznane
Bądźcie wdzięcznymi z całych serc siły.



DOWÓD PAMIĘCI.

Femcia i Ludwinia, dwie małe siostrzyczki, mieszkające z rodzicami na wsi, miały już od kilku miesięcy nauczycielkę. Dziewczynki codziennie z nią uczyły, robiły różne robótki i bawiły się pod jej okiem.

Niekiedy dobra nauczycielka należała nawet do zabawy uczenniczek, aby im było weselej. Kochały ją też bardzo. Podczas lata pojechała panna Florentyna na parę tygodni do rodziny. Dziewczynki miały zatem wakacje i używały zupełnej swobody, a że czas był śliczny i pogoda ciągle sprzyjała, dzień za dniem mijał im szybko i wesoło.

— Co to? już ojczuś wysyła konie po pannę Florentynę? — zapytały ze zdziwieniem, słysząc, że ojciec wydaje rozporządzenie

— Tak, moje córeczki, panna Florentyna dziś wraca, czyż nie jesteście rade?

— Ja bardzo jestem rada, ojczusiu — odrzekła Ludwinia — tylko myślę, że ten czas tak jakoś prędko zleciał..

— O tak — potwierdziła Femcia

— Pannie Florentynie pewnie żal odjeżdżać od rodziny, jej tam przyjemniej niż u nas — rzekła po chwili Ludwinia.

— Przecież i my ją bardzo kochamy.

— A jednak za mało myślałyśmy o niej i nie pamiętałyśmy o dniu jej powrotu — rzekła Ludwinia.

— To prawda! przykro mi nawet teraz.

— Wiesz co? — odezwała się znów Ludwinia — dobrze byłoby narwać kwiatów, porobić bukiety i przystroić pokój panny Florentyny, byłby to dowód naszej pamięci, a ręczę, że bardzo ją ucieszył.

— A więc dobrze! biegnijmy po kwiaty! — zawołała Femcia.

— O! tak, musimy się spieszyć, bo czasu nie wiele. Pobiegly obie do ogrodu, urwały już trochę kwiatów, gdy oto Femcia zrobiła uwagę:

— Moja Ludwiniu, pusto będzie w ogrodzie, gdy tyle kwiatów zerwiemy, możebyśmy poszły na łąkę i w pole, tam są też śliczne kwiateczki...

— Dobrze radzisz.. panna Florentyna lubi je bardzo, chodźmy tam, chodźmy zaraz!

Po chwili były już na łące i z pośpiechem zrywały skromne kwiateczki.

— Chodźmy jeszcze nad wodę i tam może znajdziemy coś ładnego.

Istotnie śliczne kwiaty rosły nad wodą a nawet i w wodzie

— Ach! ten, ten! jaki piękny! patrz Femciu! — zawołała Ludwinia.

— Widzę, widzę, tylko jakby go zerwać?...

— Trudno będzie, ale muszę się postarać, ażeby go mieć dla panny Florentyny. Trzymaj, siostrzyczko, to drzewko, żeby nie przeszkadzało, a ja kijkiem przyciągnę kwiatek.

I Ludwisia stanęła ostrożnie nad wodą, przyciągnęła lodyżkę i zerwała kwiatek, ciesząc się niezmiernie.

— No, teraz wracajmy, bo mogłybyśmy się spóźnić — rzekła Femcia.

Wrócili niebawem do domu i, porobiwszy ładne bukiety, przystroili cały pokój nauczycielki.

— A teraz wyjdźmy na drogę, na spotkanie panny Florentyny — poradziła Ludwinia.

— Dobrze! jestem gotowa! — zawołała Femcia.

Zaledwie uszły kilkadziesiąt kroków, nadjechała panna Florentyna. Ujrzawszy dziewczynki, kazała zatrzymać konie, wysiadła, przywitała się z nimi i szła razem ku domowi.

— Jakżeście mnie ucieszyły — mówiła — żeście wyszły na moje spotkanie, przyznając, że mi żal było odejść od rodziny, ale czuję, że i tu obcą nie jestem, i że mnie choć trochę kochacie.

— O! tak! — zawołały obie dziewczynki i tuliły się do nauczycielki.

Gdy ta udała się do swego pokoiku, doznała miłego wrażenia, spostrzegłszy starannie porobione bukiety, których woń rozchodziła się dokoła!

— Pewnie to moje uczenniczki takie pocziwe, pamiętały o mnie — rzekła z rozrzewnieniem, i ucałowała garnące się do niej dziewczątka; dziękuję wam, dziękuję stokrotnie!

Te serdeczne słowa, Femci i Ludwini wielką sprawiły przyjemność. Cieszyły się więc bardzo, że okazały wdzięczność swą dobrej nauczycielce.

Helena Bojarska.

U Cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Ale zanim zdążył dokończyć swe zdanie, ciocia Polcia powróciła, niosąc z sobą jakiś brunatnego koloru kawałek papieru, czem niezmiernie dzieci zaciekawiała. Nie mówiąc słowa, położyła papier na krześle i wzięła się do uprzątniania wszystkiego, co leżało na dużym stole, stojącym w środku pokoju. Dzieci śledziły z wielkim zajęciem każde jej poruszenie. Kazio wstał, Zosia również i wszyscy przemyśleli co też to będzie z niego? a Irenka przysunęła swoje wysokie krzeselko bliżej stołu, żeby lepiej widzieć wszystko.

— Niech każde z was weźmie krzesło — rzekła ciocia Polcia — i zasiądzie na niem koło stołu; posłuchajcie co wam powiem. Jestem wróżką, która z kawałka tego papieru potrafi wam stworzyć lalki, łódki, krzesła, stoliki i różne zwierzęta.

Henryczek otworzył szeroko oczy na te słowa, a zdziwienie jego jeszcze wzrosło, gdy zobaczył, że ciocia Polcia wyjmując ze złożonego brunatnego kartonu nożyczki, i paczkę zwyczajnego, paczkę jakiegoś cieniutkiego papieru i trochę szpilek. Na twarzyczkach Kazia i Zosi, pojawił się wyraz zawodu i rozczarowania, a Irenka zawołała jak mogła najgłośniej:

— Ja chcę lalki!

— Będiesz ją miała — odparła ciocia Polcia prędko — zaraz się zabierzemy wszyscy do zrobienia ci lalki.

Mówiąc to, wzięła trzy równe kawałki papieru i każdemu z dzieci dała po arkuszu.

— No — rzekła — do roboty. Pragnęłabym widzieć tu cztery pracowite pszczołki, zamiast leniwych. Przypatrujcie się dobrze temu co ja robię i naśladujcie mnie we wszystkim.

Dzieci odrazu z wielkim zapałem zabrały się do wskazanej roboty. Zapomniały zupełnie o niepogodzie i niebie pochmurnem, jak również o tem, że nie znały przedtem cioci Polci, i wyobraziły sobie, że może niedobry i zbyt surową okaże się dla nich.

Tymczasem ciocia Polcia wzięła arkusz papieru i rozwinawszy go położyła przed sobą na stole.

— Najpierwszą rzeczą jaką nam zrobić potrzeba — odezwała się ciocia Polcia, jest zrównanie arkusza w taki sposób, żeby tworzył duży kwadrat. Ta strona, którą oznaczam literą a fig. 1, jak sami widzicie, jest krótsza od tej, którą naznaczyłam literą b .

— Trzeba więc obeiąć papier ze strony b — zadecydował Kazio.

— Ale jaki kawałek? — dodała Zosia.

— Użyj stronę a , jako miarę — odpowiedziała ciocia Polcia — i złóż papier w ten sposób, żeby do brzegu oznaczonego literą b , dokładnie przystawał, wtedy się przekonasz o ile b dłuższe jest od a . Kawałek ten naznaczymy dużym B , i po zagięciu równiutko, odetniemy ostróżnie.

— Rozumiem dobrze, co ciocia mówi, ale cóż, kiedy nie mam nożyczek, któremi bym ten kawałek papieru odcięła — odezwała się Zosia.

— W takim razie odedrzyj go — odparła ciocia Polcia. — Żeby ci się to jednak udało, zagnij kawałek papieru oznaczony dużym B , przesunij potem paznokciem po brzegu, zwilż trochę na zgięciu, to ci pomoże do oddarcia równo papieru.

Kazio i Zosia postarali się naśladować ciocię Polcię i udało im się arkusze z podługowatych na kwadratowe przemienić doskonale, tylko Henryś musiał prosić ciocię, żeby mu troszeczkę dopomogła.

— No, a teraz — rzekła ciocia, gdy spostrzegła, że pięć równej wielkości arkuszy papieru leży na stole, rozpocznie się dopiero naprawdę robota. Musimy przedewszystkiem znaleźć środek arkusza, który oznaczony literą a , fig. 2, może które z was mi powie, jakby to zrobić?

— Trzeba złożyć papier na pół — odezwała się Zosia — tak, jak to bona nasza robi z chusteczkami do nosa, gdy je prasuje.

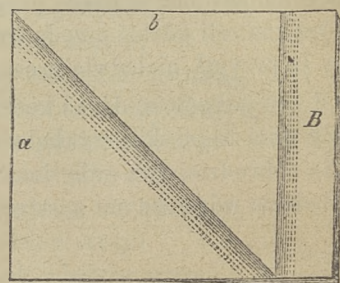


Figura 1.

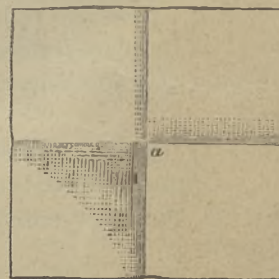


fig. 2.

(d. c. n.)

JAGIENKA

PRZEZ Z. R.

(Ciąg dalszy).

— No, no, dzieci moje, utulcie się — uspokajał je łagodnym głosem — nie stanie się wam żadna krzywda, mamy dość chleba, by i dla was wystarczyło.

Jagienka w płaczu, nic więcej wymówić nie mogła, tylko powtarzała wciąż:

— Mama moja, ach mama...

— Chodźcie ze mną, ogrzejecie się, nakarmią was, a wtedy opowiecie mi, skąd i czyje jesteście?

Podniósł je z ziemi. Tymczasem stara żebraczka szukając drogi przed sobą kosturem, posuwała się ku zabudowaniom klasztornym, a głos jej drżący przebijał mroki wieczorne; oddalając się powoli, śpiewała:

„Próżno przegrasz mi husycie srogi
Próżno dyabelskie w pomoc wzywasz rogi,
Napóżno palisz i krwie nie żałujesz:
Mnie nie zwojujesz!” *)

Ksiądz przeor zaprowadził dzieci do refektarza, w którym w tej chwili nie było nikogo, braciszek tylko jeden coś sprzątał. Kazał mu przynieść ciepłej winnej polewki. Ale Jagienka nic w usta wziąć nie chciała, póki się nie dowiedziała, czy matka jej jest w klasztorze? Poczęła opowiadać przerywanym głosem smutne swoje dzieje.

Ksiądz Kordecki słuchał, a wielkie rozrzewnienie malowało się na jego twarzy. Jagienka skończyła.

— Tak gorąco modliłam się, tak ufałam Najświętszej Pannie, że mnie doprowadzi do mojej mamy... i rozplakała się znowu.

Ksiądz przeor położył rękę na główce dziewczynki:

— Kto ufa szczerze, nigdy zawiedzionym nie będzie. Mężna jesteś, odważna i pobożna, Bóg wynagradza cię za te miłe mu cnoty. Matka twoja jest tu; przywieziono ją wprawdzie nieprzytomną z żalości za tobą, ale od dwóch dni gorączka ją opuszcza i przytomność jej wraca: przybycie twoje, będzie najlepszym dla niej lekarstwem.

Jagienka chciała biedz natychmiast do matki, ale ksiądz przeor nie pozwolił.

— Radość zbyteczna, pod noc jeszcze, gdy gorączka się zwiększa, mogłaby ją zabić. Jutro rano podziękujemy Bogu, że cię przyprowadził szczęśliwie, a potem pójdziesz do matki, która będzie już przygotowana na twoje przybycie.

— No, a ty małeńki nie pytasz o twoją mamę? — rzekł ksiądz przeor, zwracając się do chłopczyny.

— Ja nie wiem gdzie mama, bo gdy nasz dom palił się, to już nie widziałem jej. Jaga, moja niania, najpierw schowała mnie w ogrodzie, a potem wyniosła do lasu, a potem sama umarła, a potem to już Jagienka wszystko opowiedziała! Wiem tylko, że tam gdzie mama jest, to

jej dobrze i nietylko Szwedzi, ale nikt jej nic złego zrobić nie może — tak mi Jagienka mówiła!

Ksiądz Kordecki głośko głaskał chłopca, po główce.

— Tak, mój małeńki, bądź spokojny i ją czeka jutro radość i wielkie szczęście!

A w duchu pomyślał sobie: — Szczęście dla ciebie, dziecino, że nie rozumiałeś znaczenia słów swojej Jagi, która widocznie miała panią swoją za nieżyjącą. Dziwne, dziwne losy tych dzieci! Zostańcie tu — rzekł głośno — za chwilę przyślę kogoś, kto się wami zaopiekuje. — I to rzekłszy, ksiądz przeor wyszedł.

Jagienka przyjść do siebie nie mogła po tylu wzruszeniach i radości przepelniającej jej duszę; powtarzała tylko co chwila: Mama moja jest! mama jest tu...

— Ten biały ksiądz, mówił coś i o mojej mamie, ale nie rozumiałem co, powiedz mi Jagienko, co on mówił?

Ale ona nie mogła mu odpowiedzieć, w jej sercu, w jej głowie było tak pełno szczęścia, radości i nadziei ujrzenia wkrótce matki, że nic innego już tam pomieścić się nie mogło, nie słyszała nic, nie rozumiała, nie wiedziała...

— Jagienko — naglił ją chłopczyk — co on mówił?

— Nie wiem co.

— No, ale słyszałaś?

— Nie, nie słyszałam.

Chłopczyna odszedł zaszępiiony.

— W lesie, a i potem, to taka była mądra, wszystko wiedziała, wszystko mi wytłómaczyła, a tutaj, coś się jej stało, niewiedzieć co! i nie słyszy i nie rozumie...

Wtem drzwi od refektarza otwarły się i pan Wojski nie wszedł, ale wbiegł, jakby mu zdjęto starość z ramion.

— Jagienko! — krzyknął, aż echo odbiło się od sklepienia izby, ręce wyciągnął, ale od wzruszenia już nie mógł dalej kroku postąpić. Ona rzuciła mu się w objęcia. Nie mógł uwierzyć cudownemu zjawieniu się dziecka, wpatrywał się w nią, jakby pragnął przekonać się, że to nie senna mara, nie gorączkowe widzenie, lecz ta sama dziecina, za którą żal zabijał matkę, a jego pochylił ku ziemi, jakby w tych dniach dziesięciu, dziesiątki lat przeżył! Wbiegła do refektarza cała zdyszana, aż drżąca Agata, wołając od progu: „O, Jagienko! Jagienko!” I ona nic więcej mówić nie mogła, a dziewczynka z rąk pana Wojskiego przeszła w objęcia Agaty.

— Oj panienko! A my tu już opłakali ciebie gorzkimi łzami! Oj nieszczęśliwa pani moja, aby ino tę radość przeżyć mogła, słabeńka bardzo z tego okrutnego żalu!

Tymczasem pan Wojski wziął na kolana Jurasia, którego znał w Zabrzeziu. Rozrzewniony, tulił chłopczynę: — Cudownie Bóg poprowadził wszystko i ty małeńki odnajdziesz tu cudem ocaloną matkę twoją.

— Mama tu jest?! — zawołał chłopczyna, zeskoczył z kolan Wojskiego i biegł już ku drzwiom, wołając:

— Do mamy, do mamy!

Pan Bartłomiej przytrzymał go.

— Nie! dziś nie można, ksiądz przeor nie pozwolił — aż jutro po wotywie. My tu wszyscy słuchamy księdza przeora, jak żołnierze swego generała.

— Czy to ten biały ksiądz, który nas tu przyprowadził? — zapytał Jurcio.

*) Stara ińska pieśń ku czci Najświętszej Panny.

— Tak.

— On nie żaden generał, bo nie ma szabli! — zawołał chłopczyzna.

Wojski uśmiechnął się.

— Czy ma szabłę, czy jej nie ma, a słuchać go trzeba.

Juraś rozplakał się na głos, a włożywszy oba kułaczki w oczy, wołał coraz głośniejsze:

— Do mamy! ja chcę do mamy!

Jagienka przystąpiła do niego.

— Juraś, byłeś grzeczny, gdyśmy byli tacy biedni, opuszczeni, a teraz płaczesz?

— Bo ja chcę do mamy — płacząc ciągle odpowiedział.

— Czy ty myślisz, że ja nie chcę, mało mi serce nie wyskoczy, a przecie słuchać muszę.

— To ty do swojej mamy dziś nie pójdziesz? — zapytał, patrząc jej w oczy.

— Nie mogę, ksiądz przeor nie pozwoli!

(d. c. n.)

SZARADA.

Kto tej szarady odrazu nie złoży,
Niechajże *pierwsze* za karę położy,
Potem odszuka część świata;

Wszystko połączone dziwnie myśli spłata,
I o szarej godzinie tchórzom figle płata.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Od Gałązki bzu dla Jaskółki.

Początkowe i końcowe litery podanych 10-ciu wyrazów utworzyć mają nazwy dwóch stołecznych miast w Europie, złączonych spójnikiem. Sylaby: Pa — es — te — te — er — rzad — szczu — boh — u — ro — ga — pu — ki — gi — ze — furt — pak — cho — gal — ri — mos — ko — usz — zym.

Znaczenie wyrazów: 1) Ptaki podzwrotnikowe z rodz. łączących. 2) Mieszkaniec północy. 3) Pogromca Minotaura. 4) Miasto w Saksonii. 5) Przysłówek czasu. 6) Ryba rzeczna. 7) Rzeka na Podolu. 8) Organ zmysłu. 9) Wyrób z ciasta. 10) Wierchołek pasma gór Efraim w Samaryi.

KWADRAT MAGICZNY.

a	a	a	a	Zwierzątko z gromady płazów.
a	b	b	a	Ostatni wyraz w pacierzu.
e	m	n	n	Miasto w Szwajcaryi.
n	n	r	ż	Imię żeńskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go:

Szarady: Ko — per — nik.

Łamigłówki geograficznej:

1) Kraków. 2) Afryka. 3) Ryga. 4) Poznań. 5) Arabia. 6) Tamiza. 7) Yarmouth.

Karpaty.

Zadania konikowego:

Gdy wołyńskie łany rzucisz,
I na wschód swe konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W bezgranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty.

(W. Pol).

Skrzynka do listów.

Pani Adeli G. Za słowa uznania dla naszego pisma dziękujemy szczerze, zawsze nam bowiem miło posłyszeć, że praca nasza nie pozostaje bezowocną wśród milej nam dziatwy. Życzone numera wysłane, jakkolwiek sprawozdania z robótek, dla niezależnych od nas przyczyn, dotychczas nie było. Pojmując wszakże żywe zainteresowanie *Laszki* i *Strzałki*, musimy im jeszcze na czas krótki zalecić cierpliwość.

W wierszyku złożonym przez *Naszą głębę* myśl dobra; ale forma wadliwa, rytmiczność bowiem wiersza nie polega jedynie na równej liczbie sylab, ale koniecznie uwzględnić trzeba, jak one po sobie następują. Ztąd różne nazwy form przyjętych np. jamby, trocheje i t. d., gdzie w pewnym porządku idą po sobie głoski akcentowane i bez akcentu, a porządek raz przyjęty, przez cały już wiersz zachowanym być winien.

Brakujący numer, o który prosi *Wajdelota* wyślemy chętnie, tym więcej, że miał na poczcie zaginać. Chcemy też pierwszy ten liścik *Wajdeloty* uważać jako początek stałej z nami korespondencji. Przerobienie prozy na wiersz dobre.

Zagubione dodatki *Stała prenumeratorka* otrzyma tym razem, niechże jednak na przyszłość będzie uważniejszą, byśmy lepsze o jej porządku mogli mieć wyobrażenie.

Orłowi karpackiema. Właściwie od bitwy na *Kosowem polu* r. 1389 zajęta została południowa Słowiańszczyzna pod ciężkie jarzmo tureckie. Bohaterem i wodzem w tej bitwie był król serbski *Lazar*, który złączywszy się z *Bulgarami* i *Chorwatami*, chciał powstrzymać zwycięzkie *Muzułmanów* podboje. Mimo waleczności jednak, wzięty do niewoli, zamordowany został w oczach umierającego już również z odniesionych ran sultana *Murata*.

Nie dziwi nas, że piękna jesień ma dla *Góralki* powab szczególnie, jest to bowiem pora pełna uroku i smętnej poezyi, obok nadzwyczajnego bogactwa barw w zamierającej roślinności.

Pora, w której najliczniej u nas widzimy tak zwane gwiazdy spadające, jest połowa sierpnia i listopada, niech więc *Janek Z.* w tym czasie spojrzy wieczorem na niebo, a niewątpliwie uda mu się ujrzeć taką gwiazdeczkę. Krające wśród ludu mniemanie, jakoby wraz z tym ruchem gwiazdki, kończyło się jakieś życie ludzkie na ziemi, oczywiście niema nic wspólnego z nauką, i jak wszystkie legendy ludowe, jest wytworem fantazyi.

Dobre rozwiązania łamigłówek i zagadek nadesłali: *Wacjo Koj...*, *Złota pszczołka*, *Giermek* i *Władzio Z.* oraz *Amelcia* i *Tadeusz K.*